Nr. 31. Sobota, dnia 29-go lipca 1916

Gość Świąteczny.

Bezpłatny dodatek.

Na niedzielę siódmą po Zielonych Świątkach.

LEKCYA

z listu św. Pawła do Rzymian rozdział VI, wiersz 19—23.

Bracia! Po ludzku mówię dla nieudolności ciała waszego. Albowiem jakoście wydawali członki wasze na służbę nieczystości i nieprawości: tak teraz wydawajcie członki wasze na służbę sprawiedliwości ku poświęceniu. Bo gdyście byli niewolnicy grzechu, byliście wolnymi sprawiedliwości. Któryżeście tedy na on czas pożytek mieli z onych rzeczy, za które się teraz wstydzicie? Bo koniec onych jest śmierć. A teraz będąc wyzwoleni od grzechu, a stawszy się niewolnikami Boga, macie owoc wasz ku poświęceniu, a koniec żywota wieczny. Albowiem zapłaty grzechowe śmierć, a łaska Boża żywot wieczny w Chrystusie Jezusie Panu naszym.

EWANGELIA

u św. Mateusza rozdział VII, wiersz 15—21.

Onego czasu rzekł Jezus do Swych uczniów: Strzeżcie się pilnie fałszywych proroków, którzy do was przychodzą w odzieniu owczem, a wewnątrz są wilcy drapieżni. Z owoców ich poznacie ich. Izali z ciernia zbierają jagody winne, albo z ostu figi? Tak wszalkie drzewo dobre owoce dobre rodzi, a złe drzewo owoce złe rodzi. Nie może drzewo dobre owoców złych rodzić, ani drzewo złe owoców dobrych rodzić. Wszelkie drzewo, które nie rodzi owocu dobrego, będzie wycięte i w ogień wrzucone. A przeto z owoców ich poznacie ich. Nie każdy, który mówi: Panie, Panie! wnijdzie do Królestwa niebieskiego, ale który czyni wolę Ojca Mego, który jest w niebiesiech, ten wnijdzie do Królestwa niebieskiego.

NAUKA.

„Strzeżcie się pilnie fałszywych proroków." Już w starym Zakonie bywali fałszywi prorocy, o których tak mówi Pan Bóg u Jeremiasza: „Nie posyłałem proroków, a oni biegali; nie mówiłem do nich, a oni prorokowali;" za czasów Apostołów również zjawiali się „mężowie wówiący przewrotności, aby odwiedli ucznie za sobą"; przed przyjściem Antychrysta, przepowiada Pan Jezus, że „powstaną fałszywi Chrystusowie i fałszywi prorocy", a nawet „i czynić będą znaki wielkie i cuda," a oczywiście także fałszywe tylko. Cóż dziwnego, że plemię to wyginąć nie może i że, co jedni zginą, rychło inni na ich miejsce powstają. Nie brak ich i w tych naszych czasach. Bo jak fałszywe pieniądze trafiają się obok prawdziwych, i owszem, nikomuby na myśl nawet nie przyszło robić pieniądze fałszywe, gdyby nie było prawdziwych, tak też pojawianie się fałszywych proroków w niczem nie osłabia tej prawdy, ale przeciwnie potwierdza ją, że są i muszą być opowiadacze prawdy i wyroków Bożych prawdziwi, t. j. rzeczywiście od Boga posłani. Fałszywych proroków słusznie Pan Jezus każe się wystrzegać, żeby nie podkopali w nas wiary, powinnej uległości dla prawdziwych wysłanników Bożych, „miasto Chrystusa sprawujących do nas poselstwo" od Boga, i żeby nie zatruli w nas innych cnót chrześciańskich.

Po czemże poznać można fałszywych proroków? Różne są znaki. Najważniejszy jest ten, o którym mówi Paweł św.: „Choćby my, albo Anioł z nieba przepowiadał wam mimo to, cośmy wam przepowiadali, niech będzie przeklęctwem." Ktokolwiek głosi naukę przeciwną lub niezgodną z prawdą katolicką, ten fałszywym jest prorokiem. Takimi są nietylko jawni heretycy, ale bywają też tacy, co rodzili się katolikami i jawnie nigdy wiary św. się nie wyparli; mimo to głoszą po gazetach, przy wykładach, na wiecach lub w rozmowach, zasady katolickim przeciwne, albo z uporem i zawziętością szkalują księży, biskupów i samego nawet papieża; i oni fałszywymi są prorokami, i do nich odnosi się przestroga Pisma św.: „Człowieka heretyka po pierwszem i wtórem strofowaniu się strzeż: wiedząc, iż jest wywrócony i grzeszy, gdyż jest własnym sądem potępiony."

Drugi znak jest ten, że fałszywi prorocy żadnem nie mogą się wykazać posłannictwem, ale są samozwańcami, jak to mamy w wyżej już przytoczonym ustępie Pisma św.: „Nie posyłałem proroków, a oni biegali." Przybywają ludzie nie wiedzieć skąd i po co nie pytani, ani nie proszeni, i poczynają prawić, że to złe i owo złe, że oni mają i wiedzą sposoby, żeby wszystkiemu złemu zaradzić, aż w końcu już na piękne poczynają przepowiadać, niby prorokować i obiecywać, jak to wszystkim będzie dobrze, byle naród ich słuchał; że staje się uczniem ich, a raczej, jak to dziś mawiają, przystaje do ich partyi. Prawdziwy prorok, czyli posłannik Boży, któremu bezpiecznie można ufać, koniecznie potrzeba, żeby mógł się wykazać, że rzeczywiście Pan Bóg go posyła bezpośrednio, albo przynajmniej pośrednio. Jeżeli jest posłany bezpośrednio, to powinien tego, jak dawni prorocy i Apostołowie, dowieść przez cuda i proroctwa, i to nie jakiekolwiek, ale takie, któreby Kościół św. za prawdziwe uznał. Jeżeli jest posłany pośrednio, to w takim razie powinien się wykazać poleceniem od tych, którym Pan Bóg zlecił rządy w Kościele swoim, a więc od papieża, biskupa, albo przynajmniej od miejscowego duszpasterza. Kto nie może dokazać ani jednego, ani drugiego, ten fałszywym jest prorokiem.

Trzeci wreszcie znak, po którym najłatwiej poznać fałszywych proroków, jest ten, który Pan Jezus podaje w dzisiejszej Ewangelii: „z owoców ich poznacie je". Owocem najznamienitszym, jaki wydaje nauka Pana Naszego Jezusa Chrystusa, to jest pokój: „Pokój mój daję wam, pokój mój zostawuję wam." Pokój ten jest trojaki: z Bogiem, z bliźnimi i z sa-

nym sobą. Rozpatrz się, czy ci samozwańczy prorocy przyczyniają pokoju z Bogiem, czy raczej sprawiają, że ludzie coraz więcej nie wiedzieć czem się zajmują, a na Pana Boga coraz mniej pamiętają? Czy przybywa zgody i wzajemnej życzliwości między ludźmi? Czy też rośnie wzajemna niechęć i nieufność jednych przeciw drugim? Czy nie mnożą się, jak grzyby po deszczu, tak po ich robocie rozterki, stronnictwa i ustawiczny niepokój pomiędzy narodem? Czy wreszcie w miarę tego, jak poddawałeś się wpływom tych samozwańczych proroków, nie przybywało ci niepokoju sumienia i niepokoju serca, w którem wzmagało się niezadowolenie, narzekanie, oraz miotać niem poczęły rozmaite żądze i pragnienia zemsty, wywyższenia własnego itp.?

Najgorszego ze wszystkich fałszywych proroków nosimy każdy z nas w samym sobie, a jest nim przewrotna miłość własna, o której mówi Pan Jezus: „Kto miłuje duszę swą, traci ją; a kto nienawidzi duszę swą na tym świecie, ku wiecznemu żywotowi strzeże jej." Ona to, wbrew prawdzie Bożej, usiłuje wmówić w nas po grzechu, że nie jesteśmy tak winni, jak sumienie nas sądzi; przed grzechem i podczas pokusy przekonywa nas, że to nam koniecznie potrzebne, że bez tego żadną miarą się nie obejdziemy, że na tem dopiero prawdziwie użyjemy i że w końcu to nie może być tak wielkim grzechem — a ostatecznie Pan Bóg jest dobry, więc wyspowiadam się i znów wszystko będzie dobrze. I tak samo, jak fałszywi prorocy, tyle ta miłość własna umie przywodzić racyi i racyjek, i tak wszystko pięknie i niby rozumnie przedstawia, że często sprawia to, co według Pisma św., zdziałają za czasów Antychrysta fałszywi Chrystusowie i fałszywi prorocy, „iżby w błąd zawiedzeni byli, jeśli może być, i wybrani."

„Przychodzą do was w odzieniu owczem." Pasterze owiec, jak za naszych czasów, tak i wtenczas, kiedy Chrystus Pan chodził pomiędzy ludźmi, byli zwykli ubierać się w odzienie z owczych skór, z którem owce łatwo się oswajały. Ta przenośnia „odzienie owcze" poucza nas o sztuczkach, jakich zwykli używać fałszywi prorocy, żeby pozyskać zaufanie tych, do których przychodzą. Mianowicie więc starają się oni zastosować się do zwyczajów i wymagań ludzkich. Jak ten żyd, co pragnąc zrobić interes, gotów pomiędzy katolikami pochwalić Pana Boga, albo też księdza w rękę pocałować, tak i oni umieją się dostosowywać zrazu do wszystkiego: choć o Pana Jezusa nic nie dbają, przecież witają ludzi, mówiąc: Pochwalony Jezus Chrystus! i udają dobrych, a nawet gorliwych katolików. Dalej przechwalają się swoją rzekomo wielką miłością i życzliwością dla tych, do których przychodzą, i według tego, czego na razie potrzeba, popisują się jako zwolennicy szlachty, albo mieszczaństwa, albo inteligencyi, albo też robotników i ludu. Z tej wielkiej niby miłości ubolewają nad uciskiem i trudnem położeniem tych, z którymi mają do czynienia, obiecują szczerą i skuteczną pomoc, a zarazem każdemu z osobna podchlebiają i każdemu się łaszą; ganią zaś i surowo sądzą tylko nieobecnych. Tymczasem miłość ich do ludzi znajduje się tylko w ich ustach; wiele mówią i gadają, wiele też obiecują i wiele agitują, ale mało bardzo robią i jeszcze to, co robią, nie idzie na pożytek. O tych fałszywych prorokach tak mówi Pan Bóg u Ezechiela: „Będzie ręka moja na proroki, którzy widzą próżności, a prorokują kłamstwo; w radzie ludu mego nie będą, a do pisma domu Izraelowego nie będą wpisani, ani do ziemi Izraelskiej nie wnijdą... przeto, że zwiedli lud mój, mówiąc: Pokój, a niemasz pokoju; a ten budował ścianę, a ci polepiali ją gliną bez plew... I obalę ścianę, którąście budowali bez przysady, i zrównam ją z ziemią... a wiedzieć będziecie, żem Ja Pan." Nie porywajże się na rzeczy, których ci Pan Bóg nie zlecił, ale pilnuj każdy tego, co do ciebie należy. Bardzo grzeszą fałszywi prorocy; ale nie małą też winę mają ci, co im się dają uwodzić. Otóż chowajmy napomnienie Pańskie: „Strzeżcie się pilnie fałszywych proroków."

X. J.

PIOTRUŚ.

(Z FRANCUSKIEGO).

(Ciąg dalszy.)

VII.

Mateusz sypiał po drugiej stronie dziedzińca w małym domku obok stajni. Zajmował tam dość obszerną izbę, w której nocowali często i najemnicy, jeśli robota późno w noc się kończyła. W tym celu też było tam zawsze kilka sienników wypchanych świeżą słomą.

— Oto posłanie twoje — rzekł Mateusz do Jaśka, wskazując mu jeden siennik. — Urządź się jak będziesz mógł najwygodniej. Ja się położę na tamtym w kącie.

— Dziękuję ci — odpowiedział Jasiek i rzucił kapelusz swój na siennik.

Mateusz rozebrał się zaraz.

— Dobrej nocy! — powiedział jeszcze swemu gościowi.

— Dobranoc ci — odrzekł Jasiek stojąc w otwartem oknie i patrząc w przeciwległe mieszkanie Lorinów, gdzie już tylko jedno słabe migotało światełko.

— Czemu się nie kładziesz?

— Zaraz się położę.

— Zresztą rób jak ci się podoba. Dobranoc ci!

— Słuchaj-no, Mateuszu, kto mieszka na folwarku w środkowym pokoju?

— Także ważna rzecz! — odparł na wpół śpiący parobek. — To jest pokój panienki.

— Milki!... — szepnął Jasiek, w oczach którego łojowa świeczka zmieniła się nagle w pierwszorzędną gwiazdę.

Oparł się o okno i wpatrywał w ten punkt błyszczący. Jasiek nie był marzycielem, o miłości nie wiele wiedział, ale światełko to czarowało go. Oka z niego nie spuszczał, sam może o tem nie wiedząc. Nagle zadrżał, bo między światełkiem a wzrokiem jego cień się przesunął. Musiał to być cień Milki, ale z odległości trudno mu było rozpoznać; przeczuł go raczej i serce gwałtownie bić mu zaczęło. Jednocześnie prawie i światło zagasło.

Z ciężkiem westchnieniem rzucił się na siennik. Po chwili, pod wpływem znużenia i doznanych tak obcych mu dotąd wrażeń, zasnął głęboko.

Zaledwie świtać zaczęło, kiedy zerwał się na równe nogi i cichutko, na palcach, żeby nie zbudzić swego towarzysza, wyszedł na podwórze.

Ziemia wilgotną była od rosy, a wiatr poranny, zwykle dość ostry już w tej porze roku, wionął nań lodowem zimnem. Chłód ten jednakże wydał się balsamem Jaśkowi, którego krew wrzała gorączkowo.

Na folwarku wszystko jeszcze spało; głęboka cisza panowała naokół; młody chłopak zaczął przecha-

dzać się przed domem, nie zwracając wcale uwagi na przepyszny widok, rozwijający się przed jego oczyma. W oddali słońce wznosiło się zwolna, jakby z morskich wód kąpieli, złocąc wierzchołki drzew, kiedy mgły nocne kłębiły się nad strumieniem, co jak wąż wił się w zielonej dolinie.

Dla poety nie ma wspanialszego widoku, jak wschód i zachód słońca. Przy jednym i drugim podziwia on spokój i ciszę majestatyczną, zapełniającą całą przyrodę. Ta tylko zachodzi pomiędzy niemi różnica, że kiedy wschód słońca jest poezyą przyszłości i nadziei, zachód — to poezya wspomnień jedynie...

Jasiek napróżno chodził w jedną i drugą stronę, usiłując pokonać trawiącą go gorączkę. Przyśpieszał kroku, to stawał znowu, rozmawiał sam z sobą, szukając uspokojenia, nic nie pomagało. Znużony, siadał na jedną chwilę na kłodzie drzewa lub na jakim gospodarskim sprzęcie, aby pomyśleć nad swem położeniem, ale zrywał się nagle i znowu biedz zaczynał. Nie oddalał się przecież od folwarku, aby nie stracić z oczu tego okna, w którem widział upłynionej nocy, jakby w sennem marzeniu, światełko i uroczy cień Milki.

Szczególniejszej doznawał przyjemności, spoglądając w to okno, zasłonięte niebieską firanką, po za którem spało nadobne dziewczę. Jasiek nie mógł zrozumieć tego uczucia, a tem mniej zastanawiał się nad niem. We wszystkiem zwykł on był powodować się skłonnością a każda namiętność zaślepiała go. Pod tym względem było w nim coś dzikiego: gwałtownych uczuć, gwałtowniejszy jeszcze w nienawiści, zawsze gotów do walki, do zaczepki, nie dbający o żadne formy towarzyskie, uznawał jedno tylko prawo: własną wolę — a obok tego, opryskliwy, hardy i butny; z jednej strony zdolny do bohaterskich nawet wybuchów — z drugiej nie cofający się przed użyciem najnikczemniejszego podstępu, jeśli w grę wchodziło zaspokojenie żądzy.

Tymczasem i dzień się zrobił. Folwark zaczął się ożywiać, a po chwili główne drzwi zaskrzypiały na starych zawiasach i ukazała się w nich pani Katarzyna, która ujrzawszy Jaśka, powitała go uprzejmym „dzień dobry".

Prawie jednocześnie otworzyło się okienko i Jasiek ujrzał w niem na wpół ubraną Milcię, niespokojnem okiem badającą horyzont. Rozplecione jej włosy, spadające na obnażone ramiona, tworzyły niejako złocistą aureolę wokoło zarumienionej twarzyczki. Ujęła je w jeden pukiel i zarzuciła w tył głowy. Jasiek zobaczył jej białe rączki, zanurzone w jasnych splotach, i dreszcz jakiś przebiegł go całego. Czy to przypadkowo, czy też mimowolnie zdradził swoją obecność — Milcia spostrzegła go i cofnęła się przestraszona od okna. Jasiek nie umiał ukryć swego niezadowolenia.

Na ganku ukazał się ojciec Pascal, a w tej samej chwili rozległa się wesoła piosnka Mateusza.

— I cóż, dobrze spałeś? — zawołał stary, ujrzawszy Jaśka w podwórzu.

— Wybornie — odpowiedział Jasiek.

— Chyba nie bardzo — odezwał się Mateusz — bo wstał przed wschodem słońca.

— To już taki mój zwyczaj.

— Wróciłeś więc w naszą okolicę — zaczął po niejakiej chwili Pascal — i jak powiadasz wróciłeś lepszym niż dawniej. Ale powiedz mi, co u licha myślisz tu robić?

— Weidę do służby.

— Nieźle by to było. Ale do kogo?

— Do pierwszego lepszego gospodarza, to mi wszystko jedno. Może pan Plumardie mnie przyjmie.

— Wątpię bardzo, bo u niego wszystkie miejsca zajęte; a prawdę mówiąc, złą porę wybrałeś do powrotu, kiedy już każdy postarał się o parobków. Chybabyś przy winobraniu znalazł jakie zajęcie.

— Niech się pan nie boi, już ja sobie dam radę.

— Daj ci Boże, mój chłopcze. Tylko pamiętaj, że lepszy wróbel w garści, aniżeli kanarek na dachu. A mnie się jakoś zdaje, żeś ty nierozważnie wróbla wypuścił. Co, hę?

Jasiek nie odpowiadał i wpatrywał się w ziemię. Zdawało się, że nie słyszał, co do niego mówiono.

Po chwili dopiero podniósł głowę i odrzekł z pewnem rozdrażnieniem, którego znaczenia nie mógł Pascal odgadnąć.

— Może pan masz słuszność — kto wie, czym nie zrobił głupstwo, opuszczając Mussidan.

— No, no, to się pokaże dopiero. Przed czasem nie trzeba się martwić.

— Ojczulku! — zawołała Milka wybiegłszy z domu i obejmując wuja za szyję. — Czy on dziś przyjdzie?

— Oho, jak ci pilno! — odparł stary, całując ją w czoło. — Cóż to myślisz, że z Marsylii to ptaszkiem przyleci?

— Prawda — westchnęła — to bardzo daleko!

Teraz dopiero spostrzegła przyglądającego się jej badawczo Jaśka i ukłoniła mu się w milczeniu.

— Dzień dobry pannie Emilii! — odpowiedział powolnie na jej ukłon.

Stary z wielkiem zadowoleniem przyglądał się siostrzenicy.

— Wiesz co, Mileczko — rzekł — jeszcze nigdy nie widziałem cię taką świeżą i milutką. Wyglądasz dziś jak różyczka. Uściskaj mnie jeszcze raz. Już co prawda, to w twoim wieku zasypia człowiek spokojnie, jak ptaszek w gniazdku. Cóż ty na to, Jaśku?

Zanim Jasiek zdobył się na odpowiedź, zarumieniona Milka pośpieszyła go wyręczyć:

— Nawet dwóch godzin jednym ciągiem nie spałam — rzekła — a całą noc myślałam o bracie. Widać, że radość i sen może zastąpić.

— „Patrzcie no ją! Ona spać nie może, że młoda, ja nie mogę usnąć, bom stary. Oboje nie sypiamy, a czemuż ja nie mam takich kolorów jak ty? Ha, ha, ha! — zaśmiał się stary serdecznie.

VIII.

W tej chwili dał się słyszeć głos pani Katarzyny przywołującej na śniadanie.

— Chodźmy, dzieci! — zawołał Pascal — bo jedzenie nam wystygnie.

— Przepraszam pana — odezwał się na to Jasiek — muszę państwa pożegnać.

— Jakto, odchodzisz już?

— Odchodzę.

— Zjedz przynajmniej śniadanie. No, no, chodź z nami. Ale wiesz co — dodał wpatrując się w niego — jeżeli i charakter twój tak się zmienił na lepsze jak powierzchowność, to ci jest czego powinszować.

Jasiek nie mógł skryć swego niezadowolenia.

— Dajmy pokój przeszłości — wmieszała się w rozmowę Milka, chcąc złagodzić przykre wrażenie, wywołane ostatniemi słowami Pascala. — Co było dawniej, ojczulku, to już minęło... a teraz, spodziewam się przynajmniej, że pan Jan jest naszym przyjacielem.

Mówiąc to, patrzała badawczo w oczy młodego wieśniaka. On wytrzymał to spojrzenie, a potem odpowiedział, jakby zwracając się wyłącznie do niej:

— Słuszna uwaga... jestem niezawodnie waszym przyjacielem!

Głos jego brzmiał dziwnie; Milka uczuła zimno w sercu.

— Jakim to on tonem powiedział — szepnęła.

IX.

W małą godzinkę później Jasiek odszedł do Saint-Alvere, Mateusz zaprzągł woły do pługa, Pascal zaś wybrał się na to, co nazywał „winnym przeglądem”. Zbliżała się pora winobrania, trzeba więc było bacznie czuwać nad gronami, aby je w właściwej chwili zbierać.

Codziennie tak, z kijem w ręku i kromką chleba w kieszeni, zwykł był spędzać mniej więcej godzinę czasu w winnicy, ciesząc się rozkosznym widokiem pełnych gron białych, różowych i granatowych, zwolna dojrzewających pod działaniem południowego słońca.

Kruczek szedł za nim, a raczej wyprzedzał go, biegnąc jak szalony przez pola. Czasami spotykali przyczajonego zająca, albo para kuropatw zerwała się z miejsca, co psa na chwilę w zdumienie wprowadzało, a stary Pascal przy każdem podobnem spotkaniu obiecywał sobie, że pójdzie kiedy na polowanie, miał bowiem w domu starą skałkówkę, której jednak nigdy prawie nie używał.

Bo gdzież tam wieśniakowi myśleć o polowaniu! Albo to mało zajęcia z uprawą ziemi, żniwami, wybraniem i siejbą na rok przyszły! Jedynym też połowem, jaki przynosił z podobnych wycieczek, były uzbierane owoce spadłe z drzewa, i kilku gron zawcześnie dojrzałych, któremi zapełniał swoje kieszenie, aby potem wysypać je na fartuch żony albo Milki.

Owego dnia już blisko dwie godziny trwał jego „przegnąd winny”. Tu trzeba było podnieść szczep pochylony, tu zerwać liście zasłaniające owoc, tam znów podeprzeć grona, aby jednocześnie w całości dojrzewały.

Zatrudniony w ten sposób, nie zwracał uwagi, co się dzieje po za winnicą, kiedy nagle Kruczek, który znikł przed chwilą, zaczął bardzo ujadać w zaroślach. Szczekanie jego, z początku dość dalekie, zbliżało się ciągle i donośniejszem się stawało.

Pascal schylony nad winnym szczepem, zbyt poziomo rosnącym, wyprostował się i zagwizdał na Kruczka.

— Założyłbym się — mówił do siebie — że znowu się spotkał z buldogiem z Costo-Rasto! Tylko czemu tamten nie szczeka? Kruczek, pójdź tu, do nogi! Kruczek!

Pies przybiegł na głos pana, nie przestając szczekać i zwracać łeb w stronę zarośli.

— Co tam u djabła za zwierzę siedzi! — zawołał zniecierpliwiony Pascal.

Jednocześnie na skraju lasu ukazał się obcy człowiek, a Pascal ujrzawszy go, zbladł i wydał okrzyk.

Tamten; jak zgodne echo, okrzykiem na okrzyk odpowiedział. Był to mężczyzna trzydziestoletni, dobrze zbudowany, w wojskowym mundurze. Przyśpieszył kroku.

Pascal wpatrywał się w niego błędnym wzrokiem i nic nie mówiąc, otworzył ramiona na przyjęcie gościa. Żołnierz wpadł w nie z okrzykiem radości.

Obaj wzruszeni ze szczęścia, śmiali się i płakali jednocześnie, w długim wspólnym uścisku.

Pascal trząsł się z radości; oczy mu słupem stanęły, poruszał ustami chcąc przemówić, ale wzruszenie głos mu odebrało. Z całą siłą tylko ściskał dłoń młodzieńca, aż w końcu rozpłakał się jak dziecko.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ŻARTY.

OSZUKANY PRAWOSŁAWNY ŚWIĘTY.

Pewien kozak jechał konno samotnie przez stepy. Nagle zerwała się burza: z nieba zaczęły się sypać błyskawice, a grzmot za grzmotem napełniał powietrze. Kozakowi robiło się nie bardzo przyjemnie i lęk zaczynał go ogarniać. Westchnął więc do swego patrona św. Mikołaja i ślubował, że, jeżeli piorun go nie zabije, złoży przed jego ołtarzem tyle świec, ile dostać będzie mógł za wszystkie pieniądze, otrzymane za konia, na którym jechał.

Święty Mikołaj wysłuchał modłów strwożonego kozaka i odwrócił pioruny od jego głowy. Na drugi dzień kozak, pomnąc na swój ślub, udał się na targ, mając pod pachą koguta a drugą ręką prowadząc za uzdę konia.

— Hej, kozak! — pytają go, — co masz na sprzedaż?

— Koguta i konia — odpowiada — ale jednego bez drugiego nie sprzedam.

— A ile chcesz za to? — pytają go kupcy.

— Za koguta 200 rubli, a za konia dwa złote.

Koń był dobry, jak to zwykle konie kozackie, więc znalazł się rychło kupiec, dziwiąc się w duchu takiej propozycyi.

Kozak zaś kupił niezwłocznie za dwa złote świec, zaniósł je do cerkwi i zadowolony ze spełnionego ślubu zapalił je przed obrazem swego patrona Mikołaja.

NAJSILNIEJSZY.

Kilku młodych ludzi przechwalało się swoją siłą.

— Ja podnoszę 200 funtów.

— A ja wyłamuję drzwi uderzeniem pięści.

— Ależ to wszystko nic. Ja takiego znam człowieka, który ręką zatrzymuje pociąg w biegu.

— A któż to taki?

— Maszynista kolejowy.

POLICZEK U SZEWCA.

Do magazynu z obuwiem, pana N., wszedł jegomość jakiś i zażądał pary butów. Przymierzał dość długo, aż nareszcie przypadła mu do gustu jedna para.

— Ile? — pyta gość.

— Osiem marek.

— Za drogo, dam sześć.

W tej chwili wszedł do sklepu jakiś obcy jegomość, zbliżył się do klienta, wymierzył mu policzek i pośpiesznie wyszedł.

— Ty łajdaku! — zawołał klient i pobiegł za obcym w nowych butach. Ścigał go długo, a szewc napróżno czekał na powrót klienta.

Na pamiątkę po spoliczkowanym pozostały mu przecież wykoszlawione, dziurawe buty, pozostawione przez klienta, który prawdopodobnie zamówił sobie spoliczkowanie przez równego sobie figlarza.

Ale szewc, słusznie, nazwał obu oszukańcami.